

RYSZARD FRELEK

WE MGLE



FIKCJE I FAKTY 3/1987

- Niekiedy lepiej nie wiedzieć wszystkiego do końca - powiedział pan B. - W każdym razie ja zatrzymałem się przed niewiadomym, chociaż szło o coś, co było mi wówczas najdroższe. Możecie powiedzieć, że stchórzyłem, chociaż... - nie dokończył. Przez chwilę ważył jakąś nie ujawnioną nam myśl. Tym razem zaczynał opowieść bez przewrotnego uśmiechu, jego nieco końska twarz i szare, wnikliwie patrzące oczy zasnuwane były smutkiem, jakby po czymś straconym bezpowrotnie.

- Tak - rzekł do siebie. Poruszył się w fotelu, nalał szklankę mineralnej wody, pociągnął jej duży łyk i podjął: - Było to spotkanie we mgle. Dosłownie, gdyż odbyło się na ogarniętym przez nią małym lotnisku, gdzie czekaliśmy długo na odlot samolotu. Za oknami świat zatopiony w mleku, w poczekalni półmrok, bo szło już na wieczór, i beznadziejnie, jak to jest w takich sytuacjach, ciekący czas. Oczekujących pasażerów było sporo, a wśród nich kilka dość atrakcyjnych kobiet, lecz moją uwagę przyciągnął tylko jeden z mężczyzn. Był to, jak się mówi, mężczyzna w sile wieku, o włosach lekko przyprószonej siwizną, ciemnych oczach i ogorzalej czy z natury śniadej twarzy. Starannie wygolony, w niebieskiej koszuli i włóczkowym krawacie, w dobrze skrojonym i odprasowanym garniturze, robił wrażenie człowieka o dobrym zawodzie, uregulowanym trybie życia i nie krzykliwej, a świadomej pewności siebie.

- Znałem kogoś takiego - wtrącił mecenas D. - Pewnego dnia popełnił samobójstwo.

- Rozumiem, co masz na myśli - odparł pan B. - Ale w tym wypadku zewnętrzny wygląd nie był mylący. To nie był człowiek, który targnąłby się na swoje życie, raczej wręcz przeciwnie.

- Na cudze? - zapytał inżynier Z.

- Tak, raczej na cudze, chociaż wcale nie twierdzę, że to uczynił. A w ogóle pozwólcie mi opowiedzieć to po mojemu. Otóż usiadłem obok tego mężczyzny, bo... Właśnie, dlaczego akurat obok niego? Mimo wszystko chyba dlatego, że wydawało mi się, iż go znam, chociaż w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, skąd Uczucie to chyba było obustronne, gdyż przyjął mnie jak kogoś znajomego, w każdym razie bez żadnej obcości, a - jak sądzę - nie był to człowiek, który chętnie nawiązuje kontakty. Potem pomyślałem sobie, że być może była to znajomość „pośrednia”, wynikająca z bliskości każdemu z nas pewnej trzeciej osoby. Tak, jakbyśmy wyczuwali w sobie nawzajem tę trzecią. Sądzicie, że jest to możliwe?

Nikt z nas ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził, więc po chwili pan B. kontynuował:

- Na początek wymieniliśmy opinie o tym lotnisku, wyraziliśmy obawy, czy w ogóle tego dnia odleciemy, a więc typowa okazjonalna rozmowa. Jednakże dość szybko przeszliśmy, a ściślej on przeszedł, do spraw bardzo osobistych.

Pan B. znów przerwał na chwilę, by popatrzeć na obecnych. Jego szare oczy były posępne.

- Bezpośrednim, powodem naszej rozmowy - rzekł wreszcie - była notatka w wieczornej gazecie, którą obydwaj czytaliśmy, notatka o szczególnie brutalnym morderstwie popełnionym rano tego dnia w opuszczonym przez nas mieście. Wsuwano tam przypuszczenie, że motywem zbrodni mogła być jakaś straszliwa zazdrość, gdyż przy zamordowanym znaleziono coś w rodzaju wyroku, kartkę podpisaną: „karząca ręka męża”.

- Strasznie staroświeckie! - zauważył pan J.

- Właśnie! - dodał mecenas D. - Gdyby nadal zabijano za zdrady małżeńskie, nie wychodziłbym z izby karnej. - Roześmiał się wesoło. - Teraz to coraz rzadszy powód nawet do rozwodu.

- Pewnie masz rację - przyznał pan B. - Jednak tym razem na taką zbrodnię to wyglądało. Dodam, że zamordowany, jak napisano, był bardzo przystojnym, cieszącym się powodzeniem u kobiet mężczyzną, zaś zabójstwa dokonano najwyraźniej z premedytacją, metodycznie masakrując ofiarę. Tak, to był bardzo brutalny mord - powtórzył. - I powiem wam od razu -

dodał z rozbrajającym uśmiechem - że owa notka wywarła na mnie pewne wrażenie. Byłem wówczas głęboko, najmocniej w swoim życiu, zakochany, i znajdowałem się jakby na progu osobistego szczęścia. Niestety, ulokowałem swe uczucia w pewnej mężatce, która ze względu na swoją małą córeczkę, a może i z jakichś innych powodów, nie mogła się zdecydować na zerwanie, dotychczasowego związku. Ja jednak miałem cały czas nadzieję, że to uczyni. Tak, cały czas, aż do owej chwili. Wyznam wam od razu, że wspomnianego progu szczęścia nie przekroczyłem, a uczucie to do tej pory niezupełnie mi przeszło.

Jakby z obawy przed naszymi komentarzami dodał pospiesznie:

- Tak czy owak, miałem ochotę bronić zamordowanego. - Jeśli rzeczywiście został zabity za to, że uwiódł komuś żonę - powiedziałem - to kara była niewspółmierna do winy.

- Była taka, na jaką zasłużył - oświadczył ostro mój towarzysz jeszcze nie odbytej podróży. - Mamy prawo bronić swojego szczęścia!

- Ale chyba nie w taki sposób! - wykrzyknąłem. - Cóż to zresztą za szczęście, jeśli łączyło się ze zdradą?

- Nie ze zdradą, lecz z uwiedzeniem - zareplikował. - A szczęście było godne takiej obrony. Chciał je zabrać - wskazał ręką zdjęcie w gazecie - i zapłacił za to.

Zaskoczony gwałtownością jego reakcji, nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Szczęście między dwojgiem ludzi - zmieniłem temat ogólnikiem - rzadko bywa pełne, i najczęściej niezbyt trwałe.

- A jednak się zdarza takie - odpowiedział. - Ja to mogę potwierdzić.

- Gratuluję - rzuciłem z ukrytą ironią, pod którą jeszcze głębiej mogła się chować podświadoma zawiść.

- Ja naprawdę je mam - potwierdził z naciskiem. - Zostało mi dane.

- Dane...? - zdziwiłem się tym sformułowaniem. - Ja, proszę pana, wierzę raczej w przypadki. Ot, choćby jak ten, który zetknął nas tutaj wskutek wspólnego kierunku podróży i mgły.

- Sądzi pan, że jest to tylko przypadek? - zapytał patrząc na mnie uważnie.

Poczułem się trochę nieswojo pod jego wzrokiem.

- A cóż innego? - odparłem i uciekłem ze wzrokiem za okno. Mgła była tak gęsta, że nawet stojące nie opodal samoloty rysowały się w niej jedynie zamazanymi ciemniejszymi konturami, zaś latarnie poświadczały swoje światło tylko słabymi żółtawymi plamami. Był jeszcze dzień, więc jej powłoka wydawała się biała. Patrzyłem na to wszystko ze złością, gdyż traciłem w stolicy wieczór z kobietą, o której wam wspomniałem, a byłem do niej bardzo stęskniony. - Zdaje się - stwierdziłem - że długo nas jeszcze ta mgła potrzyzyma.

- Nic na to nie poradzimy - rzekł mój towarzysz i jakby odgadując moje myśli dodał: - Ja też martwię się, że moja żona czeka tam na lotnisku i niepokoi się o mnie.

- Ma pan kochającą żonę - powiedziałem zdawkowo.

- Właśnie - odparł jakby potwierdzająco. - Kochamy się nawzajem. - To również wyznał w sposób tak jednoznaczny, iż pomyślałem złośliwie: pewnie żyjesz, człowieku, w pełnym złudzeniu.

- Nie, to nie jest złudzenie - zaprzeczył natychmiast, chociaż wcale nie wypowiedziałem tej swojej myśli. Byłem widocznie nieco zmieszany, gdyż roześmiał się, zresztą ten jeden jedyny raz. - Łatwiej przekonać kogoś do dziwnego potwora w jeziorze, niż do istnienia szczęścia w małżeństwie.

- Może to wina literatury - rzekłem obronnie. - Od historii Romea i Julii opisuje szczęście kochanków, ale z reguły kończące się tragedią. A jeśli już małżeństwo, to wyczerpywanie się uczuć, oddalanie się... aż ku wzajemnej nienawiści.

- A jednak bywa inaczej - oświadczył. - Jeśli trafi się wzajemnie na siebie.

- Widzę, że mocno wierzy pan w przeznaczenie.

- Raczej w coś innego.

- Nie ma innej możliwości - podkreśliłem. - Albo przypadek, albo przeznaczenie.
- Chyba jednak jest trzecia możliwość - upierał się przy swojej opinii. - Na przykład oddziaływanie biologicznych prądów, co teraz tak modne, lub jakichś innych sił wzajemnego przyciągania.

- Które pozwalają dwojgu ludzi odnaleźć się w tłumie...?
- Właśnie - potwierdził spokojnie. - Zarówno ja, jak i moja żona, mamy wewnętrzne przekonanie, że w ten sposób się odnaleźliśmy.
- Miłość od pierwszego wejrzenia?
- Nie, proszę pana. To było inaczej.

Tu zaczął dłuższą opowieść, którą poprzedził wstępem o swojej uprzedniej niewierze w silniejsze czy głębsze uczucia. Zaoszczędzę wam powtarzania tego Sam nie oponowałem i nie przerywałem mu, chociaż słuchałem bez żadnego przekonania.

- Tak, byłem wewnętrznie chłodny - mówił między innymi. - Później zdałem sobie sprawę, że niektórym, czy może nawet wielu ludziom nie odpłacałem uczuciem, jakim byłem przez nich darzony.

- Ma pan na myśli kobiety? - zapytałem z uprzejmości, gdyż nie dostrzegałem w jego wynurzeniach nic interesującego.

- Nie tylko - odparł. - Odnosi się to również do rodziny i przyjaciół. Dawałem im uczuciowo mniej, niż otrzymywałem, i dziś widzę, że wyrządzałem tym krzywdę. Kobietom także, przynajmniej niektórym z nich. Mam nawet wyrzuty sumienia.

- Wielu mogłoby je mieć - wtrąciłem.
- Z pewnością - przyznał. - Ale rzadko je mamy. Niczym tak nie pomiatamy, jak uczuciami. Dlatego tak dużo jest ludzi psychicznie obolałych czy wręcz kalekich. Świat jest pełen uczuciowych sierot.

- Może i on był nią - wskazałem na gazetę.
- Nie! - odparł ostro. - On był z tych, którzy to sieroctwo roznoszą. Jak dżumę. Dlatego został wyeliminowany.

Pan B. spojrział na nas.

- Przyznam się wam - rzekł z powagą - że ciarki przeszły mi po grzbiecie. W jego słowach i tonie była jakaś straszliwa bezwzględność, zupełnie nie licująca z wyraźnie romantyczną historyjką, jaką zamierzał mnie uraczyć. Straciłem ochotę na dalszą rozmowę, ale coś nadal trzymało mnie przy nim

- Zostawmy tę zbrodnię... - powiedziałem.
- To nie była zbrodnia! - upierał się przy swoim.
- Wszystko jedno, jak to nazwiemy - ustępowałem. - Wolę pańską opowieść o szczęściu.

- Nie nudzi pana?

- Nie - zapewniłem, chociaż trochę skłamałem. Drażnił mnie jego niemal mentorski ton, ale równocześnie coś kazało mi wysłuchać go do końca. Miałem przy tym uczucie, że z jakichś nie znanych mi powodów chciał mi tę swoją historię opowiedzieć.

- Wracając do głównego wątku - powiedział - moje życie uczuciowe było dość ustabilizowane. Co pewien czas podkochałem się w kimś, na ogół z wzajemnością, po czym następowało rozstanie.

- Bez tragedii?

- Tak sądziłem, ale dziś już nie jestem tego taki pewien. Krzykliwe tragedie towarzyszą rozpadowi związków formalnych, pomimo że często jest to wzajemne wyzwolenie. Inne rozstania są najczęściej tragediami cichymi, a przez to może bardziej bolesnymi. Ale znów odbiegłem od tematu.

- Właśnie - przyznałem. - Miał pan przecież mówić o szczęściu.

- W ten sposób dojrzałem do swych lat czterdziestu.

- Wtedy spotkał pan swoją obecną żonę?
- Tak.
- I od razu się pan w niej zakochał?
- Wspomniałem już, że to było inaczej - przypomniał. - Pierwszy raz zobaczyłem ją na koncercie w filharmonii. Na dodatek znalazłem się na nim dość przypadkowo. Ot, przecho-
dziłem obok i spotkałem daleką znajomą, która była umówiona z kimś, kto nie mógł przyjść i
zabrała na salę mnie. Pamiętam, że grano Bacha. Wtedy właśnie, na tym koncercie, ujrzałem
ją po raz pierwszy. Siedziała w tym samym rzędzie, po drugiej stronie. Ja miałem obok siebie
kobietę, która zawsze mi się podobała. Zgodziłem się na jej zaproszenie z myślą, że a nuż
będzie to wstęp do zbliżenia. Ale zobaczyłem tamtą. I od razu przyciągnęła moją uwagę. Było
to tak, jakby ktoś. kazał mi odwrócić się ku niej.
- Z pewnością była ładna i młoda? - sprowadzałem go do realiów.
- O, tak! Jednakże nie o to szło. Nawet nie zdążyłem się jej przyjrzeć. Coś drgnęło we
mnie, jakbym dostał jakiś ważny znak. Później, dużo później, dowiedziałem się, że z nią było
to samo.
- I zaraz się poznaliście?
- Nie wówczas. Spotkaliśmy się ponownie dopiero po pewnym czasie. To właśnie też
było trochę dziwne. Otóż zostałem zaproszony przez pewnego kolegę na tak zwany towarzy-
ski wieczór. A zaprosił mnie chyba tylko dlatego, że zetknęliśmy się przypadkowo, gdyż
nigdy, ani przedtem, ani potem, nie utrzymywaliśmy bliższych stosunków.
- I ona też tam się znalazła?
- Tak. I również pierwszy raz, i tak jak ja przez przypadek, gdyż zabrała ją ze sobą jej
znajoma, której nie chciało się iść samej.
- A więc mamy już sumę dwóch przypadków - podliczyłem obydwie spotkania.
- Czterech - skorygował. - Nie uwzględnił pan przypadkowości zaproszenia nas obojga.
- W każdym razie tam się wszystko zaczęło...?
- Nie, proszę pana. Nic się wówczas nie zaczęło. Nic, poza obustronnym stwierdzeniem,
że oto się spotkaliśmy. I poza uświadomieniem sobie, że widocznie musiało to nastąpić.
- Ale się umówiliście.
- Nawet nie próbowaliśmy. Wręcz przeciwnie, unikaliśmy tego. To zdziwione przeczucie,
o którym mówiłem, u nas obojga łączyło się z jakimś nieokreślonym lękiem. Z lękiem,
który...
- Przepraszam pana - przerwałem mu dość niegrzecznie - odnoszę wrażenie, że co
pewien czas ocenia pan odczucia obojga was, podczas gdy...
- Prawdę możemy powiedzieć tylko o własnych, tak?
- Właśnie.
- Uśmiechnął się lekko.
- Zapewniam pana, że mam prawo mówić o nas obojgu. Rzecz w tym, że my od począ-
tku wiedzieliśmy, co myśli i czuje każde z nas.
- Odgadywaliście?
- Nie tylko. Odgadnąć myśli mogę i pańskie, a pan moje. Rzecz jasna, nie wszystkie.
Nikt z nikim nie dzieli się wszystkimi myślami. Inaczej doprowadzilibyśmy się nawzajem do
szaleństwa, bo w każdym człowieku znajdują się dzikie, zapewne atawistyczne, siły, których
wyzwalanie ukazał Dostojewski, a które...
- Powinny pozostać pod kontrolą - próbowałem dopowiedzieć za niego.
- Spojrzał na mnie ponownie dziwnie pośepnym wzrokiem.
- Które wolno nam uwalniać tylko w samoobronie, to chciałem powiedzieć.
- Nie zaliczy pan tu chyba takiej zbrodni? - wskazałem na leżącą nadal przed nami
wieczorną gazetę.
- Samoobrona nie jest zbrodnią! - odparował.

- Ale zabójstwo da się usprawiedliwić jedynie obroną własnego życia.
Nachylił się do mnie.

- A jeżeli nie można żyć bez tego, co jest zabierane?

- Lepiej powróćmy do pańskiej opowieści - rzekłem. Uciekałem z pewnym niejasnym, lecz dostatecznie dużym popłochem od tej kwestii. Niech mówi o niej - pomyślałem i rzuciłem: - Powiedział pan, że jest młoda i ładna.

- Dla mnie - odparł - jest piękna. Cała piękna - powtórzył. - Ale najbardziej przyciągały mnie do niej jej oczy. Duże, o czystych, poznaczonych niebieskimi żyłkami białkach, brązowych tęczęwkach i płonących czarnym ogniem źrenicach. Głębokie, uważne i ufne. Oczy, których raz ujranych nigdy się nie zapomina.

Pan B. przerwał, by rzucić na nas chmurnym spojrzeniem.

- To w tym momencie - rzekł po dłuższej chwili - przyszło to, na co podświadomie czekałem. Nawet miałem ochotę powiedzieć mu, że znam takie oczy. Słuchając go, zobaczyłem je pod przymkniętymi powiekami. Ujrzałem je nad sobą, wpatrujące się we mnie intensywnie, zapalone światłem nocnej lampki w mojej kawalerce. Nie wyznałem tego, ale od tej chwili miałem się na baczności. Musiałem się pilnować, bo zaraz potem mówił o jej rękach, że od razu poznał, iż były nawykłe do fortepianu, a nawet mógłby powiedzieć, do jakiej muzyki.

- Chyba pan przesadza - rzuciłem kąśliwie, gdyż wieczór, który traciłem wskutek mgły, był także stratą uwielbianej przeze mnie i mającej być graną tylko dla mnie muzyki.

- To była muzyka Chopina - odpowiedział.

- Wszyscy ją lubimy - stwierdziłem obronnie, a mimo woli, jakby sam siebie usprawiedliwiając, dodałem: - Nie dziwię się, że się pan w niej zakochał.

- To uświadomiliśmy sobie później. - Znow, teraz już ku mojej wyraźnej irytacji, mówił w imieniu obydwójga. - Przez kilka miesięcy nie widzieliśmy się w ogóle. Nie unikaliśmy spotkania, ale też nie szukaliśmy po niemu okazji, a ponieważ znaliśmy się niewiele i prawie nie mieliśmy wspólnych znajomych, nie dochodziło do niego - Umilkł, jakby zatrzymał się przed jakąś przeszkodą. - No - wykrztusił wreszcie - istniał też pewien powód.

- Był ktoś inny?

- Tak. Kobieta, z którą wówczas się przyjaźniłem. Ładna, mądra i dobra. - Przez jego twarz przeszedł cień smutnego zamyślenia. - Bardzo mądra i bardzo dobra - powtórzył. - Ktoś, z kim można przeżyć życie. Ceniłem ją niezwykle wysoko.

- Ale nie kochałem?

- Ceniłem i kochałem.

- A jednak porzuciłem? - naciskałem na niego z satysfakcją, że w jego wynurzeniach znalazłem bolesny punkt, coś, co psuło snutą przez niego legendę.

- To ona odeszła chociaż pewnie wcale nie chciała tego uczynić.

- Zmusił ją pan do tego?

- Nie, ale nie zatrzymałem.

- Wychodzi na to samo.

- Nie, lecz to zupełnie inna historia.

- Bez związku z tą, którą pan opowiada?

- Bez. W każdym razie bez bezpośredniego - poprawił. - Rozstaliśmy się wcześniej i, powiedzmy, wskutek nieporozumienia.

- Którego pan celowo nie wyjaśnił, tak? - Zachowywałem się jak przesłuchujący prokurator. Chociaż nie wiedziałem dlaczego, chciałem go zgnębić, zmusić do wyznania winy.

Podniósł głowę i spojrzał mi w twarz.

- Miałem opowiedzieć panu o swoim szczęściu, nie o porażce.

- Sam pan poruszył tę sprawę - przypomniałem mu. - Podobno nie ma szczęścia za darmo. Trzeba je opłacić. Albo samemu, albo płaci ktoś inny. Pan rachunek kazał wziąć tej kobiecie.

- To nie był rachunek za to.
- A za co? Mówił pan o pomiataniu uczuciami.
- Powiedziałem to w innym kontekście.
- Ogólnym, tak? - drażyłem go dalej. - Nic złego nie stosuje się do nas samych, prawda?
Cofnął się w oparcie fotela i patrzył na mnie ponuro. Zreflektowałem się w końcu.
- Przepraszam - wydusiłem z siebie, choć chętnie bym go jeszcze pomęczył. Sprawiało mi to satysfakcję.

- Ja też okupiłem swe szczęście.
- Wyrzutami sumienia? Poswędziało i przestało, tak?

Nie odpowiedział. Spojrzał w okno, a ja za nim. Mgła zmieniła barwę, była teraz nasycona zmierzchem. Zamazała już całkiem kontury samolotów, tylko plamy światła latarni wydawały się jaśniejsze wskutek kontrastu. Omiotłem wzrokiem hall. Większość pasażerów zrezygnowała, powrócili do miasta. Pozostali widocznie tylko ci, którzy jak my byli tu przejazdem i którym odszedł już ostatni dzisiejszy pociąg, a o miejscu w hotelu nie można było nawet marzyć. Na stolikach zalegały przeczytane gazety, popielniczki wypełniały niedopałki. Byliśmy skazani na dalsze czekanie.

- Mamy jeszcze dużo czasu - przerwałem milczenie. - Niech pan mówi dalej.
- Dalej? - powtórzył moje słowo. - No cóż, dalej wszystko było dobrze. Zapewne już pana znudziłem?

- Wcale nie - zaprotestowałem. - Tak rzadko słyszy się o szczęściu, a pan mówi o nim tak przekonywująco.

Nie dostrzegł ironii w moich słowach.

- Nie opowiadałem tego nikomu - stwierdził. - Ale czynię to dziś. - Znów sposepniał. - Właśnie dziś - powtórzył z taką modulacją głosu, jakby ten dzień miał szczególne znaczenie lub coś się w nim stało. - I właśnie panu. Widocznie potrzebuję czegoś w rodzaju...

- Spowiedzi? - podrzuciłem to słowo w jego zawieszony zdanie.

- Z niczego, co uczyniłem - oświadczył z nagłą złością - nikomu nie muszę się spowiadać!

- Nie wiem, co pan uczynił - mruknąłem. - I wcale mnie to nie interesuje. Widocznie źle się wyraziłem. Jeśli tak, to przepraszam.

- Nie ma za co - równie niespodziewanie rozpogodził się i rozsiadł wygodniej.

Pomyślałem, że jest człowiekiem o krańcowo zmiennych nastrojach i wielkich skrywanym pasjach.

- Przerwałem na tym, że przez kilka miesięcy nie doszło do żadnego spotkania, prawda?
- wznowił swą opowieść.

- I znów zetknęliście się przypadkowo? - rzuciłem.

- W tym sensie, że żadne z nas nie organizowało tego. Natomiast musiało to dojść do skutku siłą wzajemnego przyciągania, gdyż obydwójce w pełni do niego dojrzelśmy. A spotkaliśmy się wówczas bardzo zwyczajnie, na ulicy. Natknęliśmy się na siebie, idąc z przeciwnych kierunków. Aha, i może pan uwierzyć lub nie, lecz jeszcze daleko od siebie obydwójce wiedzieliśmy, że zaraz się zobaczymy. Jeśli idzie o mnie, to oczekiwałem tego od samego rana.

- Znów tajemnicze prądy? - zapytałem ze sceptycznym uśmiechem.

Wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno, jak pan to nazwie. Zmierzaliśmy ku sobie z przeciwnych stron, lecz w tym samym nastroju. Spotkaliśmy się, przywitaliśmy, i... nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić, więc zwyczajnie zaczęliśmy iść obok siebie, w tym samym, wszystko jedno w jakim kierunku. Nawet niewiele rozmawialiśmy, i o niczym ważnym, po prostu szliśmy obok siebie. Długo, różnymi ulicami, aż do momentu, kiedy któreś z nas spojrzało na zegarek i stwierdziło, że jest już późno. Umówiliśmy się na następny dzień.

- I już się naprawdę zaczęło? - zapytałem z uśmiechem.

- Proszę nas nie popędzać - odwzajemnił uśmiech. - Owszem, zaczęliśmy się spotykać, ale nawet nie za często, i jeśli o to idzie, wcale nie rzuciliśmy się na siebie. Nie spieszyliśmy się, bo od początku każde z nas wiedziało, że będziemy mieć siebie na długo, na zawsze. Świadomi tego, nawet ostrzegaliśmy się nawzajem przed sobą.

- Ale to była tylko gra, prawda? Ze mną - wyznałem w nagłym odruchu - też ktoś tak grał. Oczywiście była to kobieta.

- Nie zawsze jest to gra - zaproponował. - Niekiedy ostrzeżenie jest bardzo potrzebne - dodał z naciskiem.

- Przed czym? - wykrzyknąłem, lecz zaraz się zreflektowałem. - Jeśli chce pan wiedzieć, moje uczucie zostało odwzajemnione - powiedziałem.

- Jest pan tego pewien? - W jego słowach nie było ironii, raczej głęboka wątpliwość.

Chciałem zawołać: co panu do tego? Na jakiej podstawie kwestionuje pan moje przekonanie. Przecież nie zna pan jej! Coś mnie powstrzymało. Wewnętrzny nakaz? Być może. Stałem się czujny. Odwróciłem twarz, lecz potknąłem się spojrzeniem o nieszczęsną gazetę. Zauważył to.

- On też dał się zwieść pozorom - rzekł sucho. - I zapłacił za to.

Przeniósłem wzrok na mojego rozmówcę. Jego twarz miała znów posępny wyraz, jakiego nabierała przy każdej wzmiance o tym morderstwie. Poczulem się znów nieswojo. Tak jak poprzednio, uciekłem szybko od tego tematu.

- Wróćmy - zaproponowałem - do pańskiej opowieści.

- No cóż, potem zbliżaliśmy się do siebie stale i dość szybko. Wielkie znaczenie dla nas obojga miały częste moje pobyty w jej rodzinnym domu. Wie pan, bywać u kogoś w rodzinnym domu, to chłonąc jego atmosferę, jakby poznawać tę osobę od samego dzieciństwa. Tworzy to szczególne więzi.

- Zazdroszczę panu! - rzuciłem nagle wbrew swej woli. Wyznałem w ten sposób, że nie dane mi było nigdy być w domu kobiety, którą kochałem. Przychodziła do mnie, do mojej ciasnej, przytłoczonej fortepianem i wypełnionej książkami, z pewnością nieprzytulnej dla kobiety, kawalerki. Tylko ona ją ocieplała, a zdarzało się to niestety rzadko i prawie nigdy nie pozostawała na noc. Kradłem z nią nie dni, a godziny. Kradłem? Komu? Nie znałem i nie chciałem poznawać tego człowieka, który z tytułu li tylko formalnych związków uważał ją za przynależną sobie. Tak samo jak ten, który tu, na zamglonym lotnisku, odśpiewuje przede mną pieśń o swym szczęściu... Zatopiony w swych myślach z trudem go słuchałem, lecz nie zauważył tego i ciągnął swoje wynurzenia.

- Następnego dnia, po pierwszej wizycie u nich - opowiadał - poszliśmy na długi spacer i pocałowałem ją po raz pierwszy. Był to krótki i delikatny pocałunek. Pozostał mi jednak długo na wargach. Zdarzyło się to kiedyś panu?

- Co? - ocknąłem się ze swych rozmyślań.

- Zachować dotyk kobiecych ust?

- Zdarzyło - bąknąłem. Tak, pamiętałem to doskonale. Muśnięcie chłodnych warg przy bramie ojesienionego parku, za którą musieliśmy się rozstać, niesione samotnie ulicami do domu. Do cholery! - krzyknąłem w myślach. - Cóż on ode mnie chce? Potwierdzenia wyjątkowości swych przeżyć?! Nie dam mu tego. - Potem już wszystko poszło szybko, prawda? - powiedziałem głośno.

- Tak - przyznał. - W miesiąc później zostaliśmy kochankami. - Podniósł się i rozprostował. - Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, odetchnijmy świeżym powietrzem. Strasznie tu nadymione.

Wyszliśmy na taras. Trwała noc. Taka bez nieba i bez ziemi, które zamazała ciągle trzymająca się mgła. Widzieliśmy tylko zawieszzone w niej żółtawe bąble latarni. Ciągnęła chłodem i wilgocią, lecz spacerując nie musiałem oglądać jego twarzy i udawać uwagi, mogłem

powracać do swoich wspomnień. Znów ujrzałem jej nachyloną nade mną twarz w obłoku jasnych włosów, oczy z igrającymi światełkami, wilgotne i nabrzmiące od zachłannego całowania usta. I poczułem jej ciepłe, dobre dłonie na policzkach, opuszki palców masujące lekko moje skronie.

- Widział pan kiedy mgłę w lesie? - zapytał, gdyśmy doszli do krańca tarasu, i nie czekając na odpowiedź sam mówił dalej: - Mam na myśli wysokopienny suchy las, nie w pobliżu jeziora, rzeczki czy bagna. W takim lesie mgła nigdy nie schodzi w dół, trzyma się na koronach drzew. Niżej jest tylko lekko przymglone powietrze, które wydelikaca kontury pni i gałęzi, poszyciu nadaje jakąś nierealność. Wszystko jest wówczas tak delikatne w rysunku, jak japońskie akwarele. Nie wiem, jak to się dzieje, ale omglony las nabiera innego wyrazu i innego zapachu. - Zamilkł, jakby wczuwał się w tę atmosferę. - Kochankami zostaliśmy w lesie - dodał ni stąd, ni zowąd.

- Na leśnym runie? - Tym razem moja złośliwość była zamierzona. Wylazła ze mnie niby w odwecie za potrącanie czułych miejsc. Nam nie było dane jeździć razem do lasów. Nasza skrywana przed innymi miłość błąkała się po ciemnych ulicach, przesiadywała w kątach kawiarni, chowała za wejściami kin, oglądała czujnie, by jej ktoś nie dostrzegł, uciekała pomiędzy cztery ciasne ściany i rygłowała drzwi.

- Na runie leśnym robiliśmy to także - odparł po chwili, wcale nie urażony. - „Robiliśmy”, cóż to za brzydkie, nieodpowiednie do tego słowo. Miłowaliśmy się wszędzie. Ale pierwszy raz właśnie tam. W cichym domu położonym w lesie. W łóżku pod oknem otwartym na gwiazdy.

- Zawsze kończy się w łóżku - mruknąłem z tej samej złości.

Odwrocił się do mnie z wyrazem niechęci.

- Łóżka bywają różne, proszę pana - powiedział. - I różnie w nich bywa. Ludzie naprawdę zakochani dokonują wielkiego wzajemnego odkrycia swoich ciał, zaznajamiania ich ze sobą za pomocą wszystkich zmysłów, uczenia się ich. Wtedy to, co robimy w łóżku, jest piękne. Wie pan, jest taki wiersz Prevosta...

- Który? - zapytałem ze skurczem serca.

- Trzy zapalki zapalone w nocy... - zaczął.

- ...pierwsza, żeby ujrzeć twoje oczy - dopowiedziałem za niego. - Druga, żeby ujrzeć twoją twarz, trzecia, żeby ujrzeć ciebie całego, a potem całkowita ciemność, żeby wszystkiego nauczyć się na pamięć. - To od niej go usłyszałem. Mówiła to, zapalając zapalki w naszą pierwszą noc.

- Pan też zna ten wiersz? - zdziwił się.

- Słyszałem go kiedyś - odparłem zdawkowo.

- Jest prosty i przez to piękny. Ale pan źle dopowiedział, gdyż ten wiersz skierowany jest nie do mężczyzny, a do kobiety, i brzmi trochę inaczej.

- Ja go słyszałem od kobiety - rzekłem. Nie dodałem, od kogo ona mogła się go nauczyć, nie przeszłoby mi to przez zwierające się zęby.

On nadal błędził wzrokiem po przykrytym ciemnością lotnisku.

- Mówiłem już - z uporem kontynuował swe wyznanie - że od początku odgadywaliśmy swoje myśli. Później nasze zbliżenie psychiczne osiągnęło taki stan, że myśleliśmy to samo i często obydwójce mówiliśmy to samo. Uczucie nastroiło nas na tę samą falę.

- I tak - zionąłem ironią - złączeni duszami i ciałami, osiągnęliście pełnię szczęścia. Czyżby okazało się również trwałe?

- Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem - odparł.

- Chwalebny wyjątek! - wypaliłem złośliwością. - I niemal za darmo.

- Prawdziwego szczęścia nigdy nie ma za darmo - rzekł surowo.

- A więc przyszło za nie czymś zapłacić? Panu czy jej? Aha - przypomniałem sobie - wspominał pan już o jednej płatniczce. Żeby ktoś się śmiał, płakać musi ktoś!

- Po to, by się śmiać, płakać musimy sami - odparował.
- Ale to już nie mieści się w pańskiej opowieści?
- Mieści - rzekł spokojnie.
- Tylko lepiej nie mówić?
- Mógłbym powiedzieć, lecz... widzi pan - wskazał ruchem głowy na lotnisko - mgła już zaczyna się podnosić. Wystarczy więc stwierdzić, że przebrnęliśmy przez wszystkie przeciwności.

- Nieco obolali?
- Może. Ale za to tym bardziej ceniący swoje szczęście. Stanowimy dobrane małżeństwo.

- Pełne wzajemnego zaufania?
- Właśnie. Obopólnej miłości i ufności.
- Niczym niepodważalnej?

Nie odpowiedział. Stałem o kilka kroków od niego i mogłem przyjrzeć się dobrze całej jego sylwetce. Był trochę przygarbiony, jakby obciążony wieloletnim zmęczeniem. Ręce trzymał w kieszeniach marynarki. W bladym, jeszcze nieco przymglonym świetle świtu wydawał się szary, ale jego twarz i cała postać tchnęła wewnętrznym uspokojeniem. Palila mnie żądza zburzenia go, zarażenia swoim niepokojem, który narastał we mnie podczas jego zwierzenia, chciałem się wyzwolić jego kosztem.

- Powiedział pan, że jest piękna - rzuciłem.
- Tak.
- A więc przyciąga uwagę innych mężczyzn - indagowałem.
- Tak.
- Nie jest pan zazdrosny?

Nie odezwał się, patrzył przed siebie.

- Budzi ich pożądanie...

Znów to przemilczał.

- Może również uczucia...?

- Jest tylko moją.

- Kobiety przestały być własnością, są partnerkami - upomniałem go.

- Jest moją, tak jak ja jej. Przynależymy do siebie nawzajem.

- Ktoś jednak może chcieć ją panu zabrać. Nie boi się pan tego?

- Byłoby to jak rozbitcie na połowy jakiejś całości.

- Ale to się zdarza, nawet dość często.

- Nam się nie zdarzy - oświadczył to tonem, w którym zabrzmiała nie tyle pewność, co jego własna decyzja.

Mógł równie dobrze powiedzieć, że on nigdy do tego nie dopuści, że nigdy i nikomu nie da sobie jej zabrać, choćby nie wiem jakich miał użyć sposobów. A może - zwątpiłem na chwilę - jest to tylko zewnętrzna, warstwa, którą chroni się jak tarczą? Nadal wrzała we mnie złość, podszyta zawiścią czy zazdrością. Chciałem ciągnąć przesłuchanie, wywlec z niego trzewia. Nie wiedzieć skąd byłem niemal pewien, że w jego pięknym kufrze gruchoczą szkielety. Ale on nie dawał mi już na to czasu.

- Powinniśmy wrócić do hallu - stwierdził.

- Chyba tak - zgodziłem się niechętnie.

Ogrzewana słońcem mgła rozrzedzała się od góry, odkrywając przestwór nieba, i uwalniała lotnisko ze swej powłoki. Zdawała się schodzić głębiej w kotlinę, by ukryć się w jej zakątkach. Na płycie lotniska pojawiły się postacie mechaników i pilotów.

Weszliśmy do hallu, który znów zapełnił się ludźmi. Widocznie przyjechali ponownie z miasta. Rozejrzałem się wśród nich, jakbym bezwiednie szukał jej. Może z tego względu, że namawiałem ją na wyjazd ze sobą? Nie dała się skusić. Przeciwnie, gdy tylko wspomniałem o

tym mieście, przybladła i odsunęła się ode mnie.

- Dlaczego tam? - zapytała z wyraźną niechęcią.
- Bo sam tam jadę - odparłem.
- Tylko dlatego? - chciała mojego zapewnienia.
- Tak. Bylibyśmy razem przez cały dzień, przed nikim się nie ukrywając.

- Nie! - ucięła temat. - Tam nie pojedę! - Nie chciała wyjaśnić powodu. Szukanie na dworcu było absurdalne, ale dobrze pamiętam, że rozglądałem się za nią. Może zapragnąłem ją przywołać, by zadała kłam moim obawom, rozproszyła żrące mnie podejrzenie.

Przeszliśmy między ludźmi i znaleźliśmy się obok swych foteli. Natknąłem się znów wzrokiem na pozostawioną na stoliku gazetę.

- Mam nadzieję, że go znajdą - rzekłem.
- Kogo?
- Mordercę przez zazdrość.
- Nie sądzę - odparł.
- *Crime passionnel*, jak nazywają to Francuzi, jest łatwa do wykrycia.
- Nie zawsze.
- Zawsze - powtórzyłem z uporem.
- Bez żadnego śladu, nie znajdą. - W jego tonie była pewność.
- Zostawił swój „wyrok” - przypomniałem.
- Sklejony literami z gazet.
- Sprawdź wszystkich jego znajomych w tym mieście.
- Z pewnością - przytaknął. - Miał tu opinię lowelasa.
- Skąd pan wie?
- Przeczytałem notatkę.
- Wydaje mi się... - zacząłem i sięgnąłem po gazetę, by sprawdzić. Wyjął mi ją z ręki i położył z powrotem, mówiąc:
- Może powiedział to ktoś z pasażerów. Rozmawiali na ten temat.
- Tak czy owak, w końcu trafią na zabójcę - rzuciłem ostro.
- A jeśli zrobił to ktoś spoza tego miasta?

Spojrzałem na niego. Uśmiechnął się, lecz oczy pozostały zimne, a może czujne. Stchórzyłem przed nimi. Przeniósłem wzrok na wejście. Na podjazd wjechał wóz milicyjny. Przyglądałem się wysiadającym funkcjonariuszom i śledziłem, dokąd pójdą. Przeszli przez hall i stanęli przy bramce wyjściowej. Dostrzegłem, że przeglądali listę pasażerów.

Powróciłem wzrokiem do swego towarzysza podróży. Wyjmował z teczki starannie zapakowane kanapki. Odwinął je i położył na stoliku, obok gazety.

- Proszę się poczęstować - zaproponował. - Przygotowane przez moją żonę.
- Rano nigdy nie mam apetytu - odmówiłem.

Wziął sam i jadł ze smakiem. Trwało to dość długo.

- Stęskniłem się za nią i za dzieckiem - powiedział, gdy skończył.
- Za dzieckiem? - zapytałem.
- Nie mówiłem panu? Mamy uroczą córeczkę.

- Ach tak? - wykrztusiłem. W środku coś mną targnęło. To już nie było potrącenie struny, lecz uderzenie w dzwon. Na alarm. Skuliłem się w sobie jak batożony pies. Ślizgałem się wzrokiem po podłodze, po ustawiających się w kolejce przed wyjściem na płytę lotniska ludziach. Długo zbierałem siły, by podnieść głowę i zapytać martwym głosem:

- Po co mi pan to wszystko opowiadał? Na przestrożę? O mnie też pan już wie?

Wstał, przyjrzał mi się uważnie, jakby mnie zobaczył pierwszy raz, jakby w ogóle ze mną nie rozmawiał. Wzruszył ramionami i spokojnie odszedł, by zająć miejsce w kolejce do odprawy.

Nie dołączyłem do niego i lecieliśmy daleko od siebie, a także nie pożegnaliśmy się po

przylocie, gdyż wsiąknął w tłum, jak gdyby nigdy nie istniał.

Pan B. zamilkł. Powolnymi ruchami sięgnął po szklanę, nalał sobie mineralnej wody i pił ją łapczywie, jakby przeszedł pustynię. Na długą chwilę pokój zaścieliła cisza, wydawało nam się, że słyszymy podzwanianie jego zębów o szkło i własne oddechy.

- Nie odpowiedział ci? - przerwał ją ktoś pytaniem.

- Nie - stwierdził krótko pan B.

- Ale była to ta sama kobieta, tak?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?!

- Nie powiedział jej imienia, ani sam się nie przedstawił.

- Mogłeś sprawdzić później.

- Nigdy już nie spotkałem się z nią. Ani z nim.

- Mówił ci przecież, że żona będzie go czekać na lotnisku w Warszawie...

- Nie widziałem nikogo.

- Naprawdę nie chciałeś się dowiedzieć?

- Po co? Żeby upewnić się o swojej klęsce?

- Albo o szczęściu...

- Dzielone z kimś innym i tak przestaje być szczęściem.

- Złąłeś się go?

- Jego? Czemuż miałbym się go bać?

- O, do cholery! - wykrzyknął ktoś inny. - Powiedz nam przynajmniej, czy znaleziono sprawcę tego morderstwa?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego miałem się tym interesować?

- Dajcie mu spokój! - wtrącił się ostro. - Nie dostrzeżliście, że on to wszystko wymyślił?

Pan B. zwrócił się ku mnie.

- Tak sądzisz? - zapytał z uśmiechem. - Czyżbyś nie wierzył w szczęście między dwójgim ludzi?

Wzruszyłem ramionami, jak jego rozmówca z zamkniętego przez mgłę lotniska.

- No cóż - rzekł pan B. i wstał - zabrałem wam dużo czasu, wszystkim nam pora już wracać do domów.

Powiedział to ze zrezygnowanym smutkiem. Wiedzieliśmy, że swoją załadowaną książkami kawalerkę, w której mieszkał od niepamiętnych czasów, zastanie pustą. Zapewne siędzie do zajmującego większość jej powierzchni fortepianu, by coś zagrać, lecz nie wiedzieliśmy, co.